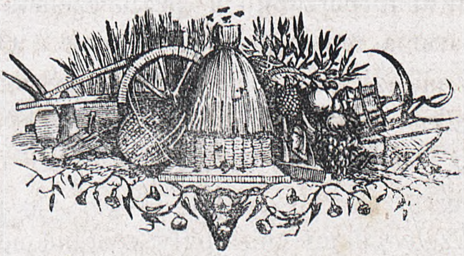
Tom XV. Nr. 9.

21. września 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Gmina i jej sprawy.

II. Porządek i bezpieczeństwo.

Mówiliśmy przeszłym razem, że gmina posiada zwykle jakieś własności, które iść powinny na pożytek całej gminy; — że zatem gminie przysłuża prawo, aby ona sama nad swojem dobrem czuwała, i około własności swojej sama miała staranie. Lecz oprócz własności nieruchomych, oprócz gruntów, budynków, stawów i tym podobnych posiadłości, gmina ma różne inne czynności, które ją najbliżej obchodzą, najlepiej i najprędzej przez nią załatwione być mogą, i do których prawo także wyłącznie przysłużać powinno gminie. Do tych rzeczy należą różne czynności dla dobra gminy. Weźmy najprzód porządek i bezpieczeństwo miejscowe. Dwa małe słowa, które dużo znaczą w społeczeństwie ludzkiem. Uprzyjemniają i ułatwiają one życie tym, pośród których się znajdują; są znakiem ludzi dojrzałych i światlejszych.

Porządek zewnętrzny jest znakiem porządku w głowie i w duszy; bezpieczeństwo publiczne, jest zapewnieniem do-

brego bytu; jest zapewnieniem wolności, jaką człowiek w społeczeństwie równych sobie ludzi doświadczać może.

Dla zachowania porządku i bezpieczeństwa miejscowego, gmina różne starania musi mieć na głowie. Osada, w której się znajdują jej mieszkańcy, czy to wieś czy miasto, potrzebuje pewnego porządku w stawianiu domów, ażeby od jednego do drugiego, łatwo i najkrótszą drogą można się dostać, nie potrzebując skakać przez rowy, albo drapać się przez płoty; — ażeby bez potrzeby domy nie były rozrzucone samopas, jak gwiazdy po niebie, lecz żeby stały przy ulicach dostępnych i równych; ażeby dla obcego, odszukanie mieszkańca było łatwe po numerze domu, w którym mieszka.

Cóż powiedzieć o bezpieczeństwie od ognia, o które w suplikacji kościelnej się modlimy? — Wszak i tu nie dosyć oddawać się Bogu, ale trzeba dołożyć starania aby tego nieszczęścia według możności uniknąć. Trzeba dbać o to, aby przynajmniej kominy były murowane, ognie strzeżone lub na noc gaszone, straże nocne utrzymywane, na wypadek zaś ognia narzędzia do gaszenia przysposobione, i ludzie do ratunku do pewnego porządku i pomocy skutecznej usposobieni, zachęceni lub znagleni.

Ba nawet sama czystość około domów jak jest miłą dla oka, tak potrzebną dla zdrowia, częstokroć nie może być zostawioną domyślności i woli mieszkańców, ale potrzebne jest na to oko, aby niedbałości takiej nie dopuszczać, która drugim zawadza i szkodzi. Potrzebne są pewne porządki i nakazy, aby zewnętrzna schludność była zachowaną.

Jeszcze więcej zadadzą nam pracy drogi, które od wsi do wsi lub do miasteczka prowadzą, aby były proste, równe, rowami osuszone, mosty na nich nie wązkie i nie dziurawe, aby mieszkańcy czy do gospodarstwa, czy na targi wyjeżdżając nie marnowali czasu swojego, statków i chudoby. W lasach aby zwierz drapieżny był wyniszczony, a gorsza jeszcze rzecz niż jama w drodze, niż dziura w moście lub wilk drapieżny, aby próżniactwo i złodziejstwo nie kryło się po chatach i lasach, niwecząc pracę ludzi skrzętnych i uczciwych.

Wszystko to są starania, które najbliżej gminę obchodzą i przez nią najprędzej, najłatwiej i najtaniej załatwione być mogą.

Jakież to utrudzenie, koszt i zwłoka byłaby w każdej rzeczy, gdyby o nią gdzieś trzeba pisać, kogoś czekać, o rady albo o rozkazy pytać? — Potrzeba chatę postawić, albo studni we wsi, pisz prośbę, posyłaj posłańców raz, drugi i trzeci, aż zjedzie komisja, zje bezpłatnie nie jednę kurkę we wsi, zapisze dużo papieru, nawodzi się ludzi dni kilka, kilka furmanek przepędzi i z papierami odjedzie. To co może się zrobić za tydzień, zrobiłoby się za kilka miesięcy lub rok; bo obcy urzędnik tych potrzeb nie czuje, co mieszkaniec miejscowy, i jego byt nie od pośpiechu lepszy, ale od tego jak on częściej i dłużej jeździ: a tu tymczasem mieszkańcom chaty i wody potrzeba.

A pojedzie podróżny dziurawą drogą, lub się załamie na moście, to komu naklnie, nie komisji, ale wójtowi i gospodarzom miejscowym, że ladaca o drogi nie dbają. A obedrą go włóczęgi, to dziesiątemu zakaże, tej wsi omijaj, bo tam próżniactwo, włóczęgostwo żebraków i porządku niema w gminie.

Tak bywa wszędzie, gdzie gmina około dobra swojego i publicznego nie dbała i sprawy swojej zasypia, spuszczając się na to, aż ktoś wyższy przyjedzie, nakaże, rozporządzi a może i sam zrobi. Jeżeli ci się złamie koło u woza, lub zrobi dziura w bucie, to chyba i wtenczas miałbyś pisać i o komisją prosić, aby ci dała radę i pomoc? Piękna byłaby to opieka nad ludźmi i wygodne takie życie na świecie. Ale takie społeczeństwo ludzkie byłoby uczynione na podobieństwo zwierząt bezmyślnych. Nie tak słabym i niedołężnym uczynił Pan Bóg człowieka. Dał mu rozum, dosyć sprytu i czułą skórę, żeby sobie radził w tem co go dotyka, a ludzie nie mają prawa przeszkadzać mu w tem, gdzie on nie szkodząc nikomu, nie naruszając cudzych praw i wolności, około dobra swojego się krząta i o swojem dobru myśli.

Tak więc gmina powinna o potrzebach swoich domowych, około porządku i bezpieczeństwa miejscowego, sama myśleć, sama sobie radzić i co za dobre uzna załatwiać, a nietylko

powinna, ale ma prawo do tego; a nikomu nie przystoi to prawo jej niweczyć, albo jemu przeszkadzać. Byłoby to rzeczą niesłuszną, dla każdej władzy błędną i naganną, bo dla gminy uciążliwą. A taka opieka nazywałaby się nie wolnością, ale opieką niewoli.

III. Zdrowie, nauka i moralność.

Jużeśmy to nie raz mówili, że gmina podobną jest do wielkiej rodziny. Jakoż gmina we wszystkich sprawach swoich powinna na to pamiętać i tak postępować jak poczciwa rodzina sobie postępuje, we wszystkiem co obchodzi spólne jej dobro, wszędzie gdzie potrzeba wzajemnej pomocy jednego dla drugiego. Jak rodzina podejmuje różne prace około chleba powszedniego i wszyscy spólnie strzegą i uprawiają rolę, która ich żywi, albo pilnują rzemiosła, z którego mają utrzymanie, tak gmina czuwa nad własnością wspólną, gromadzką, z której pożytek powinien iść na wspólne dobro wszystkich członków gminy: i jakieśmy powiedzieli, do tego starunku ma gmina swoje jedyne prawo. Jak ojcowie rodziny nie poprzestają na tem, aby dzieciom dać strawę i odzienie, lecz myślą o różnych ich potrzebach; pomagają w rozmaitych okolicznościach, nie opuszczają w chorobie, uczą pracy i według sił swoich radzi udzielić im jakiej takiej nauki, żeby to było i do Boga i do ludzi: tak i ojcowie gminy mają obowiązek oprócz starunku około własności gromadzkich, około porządku i bezpieczeństwa miejscowego, dbać o inne i cielesne i duchowe dobro wszystkich członków gminy; a co się da wspólnemi siłami, wspólnym majątkiem zrobić, to robić sumiennie co potrzeba i dla doczesnego bytu na teraz, i dla przyszłości pokolenia, które w tej gminie ma się rozrastać i podnosić i da Bóg kiedyś swoim rozumem i swoją powagą zastąpić głowy tych, którzy dzisiaj o nich myślą i dbają i według ich przykładu pracować znowu dla przyszłego pokolenia swego.

Do takich starań należą starania około zdrowia, nauki i moralności.

Według możności i środków swoich, gmina powinna myśleć nietylko o koniecznych potrzebach, ale nawet o wygodach

i przyjemnościach godziwych, które Bóg stworzył dla człowieka, a które człowiekowi dają spokój, robią go łagodniejszym i lepszym. Tem bardziej dbać potrzeba o te rzeczy, któreśmy tu wyliczyli.

Gmina powinna według możności swojej utrzymywać lekarza swojego, albo w potrzebie dojeżdżającego z sąsiedztwa, ażeby jej chorzy nie byli pozbawieni pomocy, którą Bóg dać może przez lekarzy, co się nauce do tego potrzebnej oddają i środki leczenia z długich doświadczeń całego świata poznają.

Dziatki nie powinny wzrastać samopas jak ptactwo i zwierzątka domowe, kiedy Bóg dał człowiekowi rozum, i różne zdolności, które człowiek powinien na Chwałę Bożą i pożytek swój i swoich spółbraci podnosić, doskonalić nauką. Do tego potrzebne są szkoły, które gmina na pierwsze potrzeby powinna utrzymywać u siebie. Dzieci nim nabiorą sił do twardszej pracy około gospodarstwa lub rzemiosła, mają dosyć czasu nauczenia się czytać, pisać, rachować. Ta mała nauka już im będzie bardzo użyteczna w każdym stanie, w każdem zatrudnieniu, ustrzeże ich w dni wolne od próżniactwa; poda im piękne myśli i modlitwy w kościele; poda im pożyteczną rozrywkę w domu; otworzy im oczy na wiele cudów świata, na wiele dzieł boskich, których bez nauki nie znajdą; nauczą się tego co się ludziom od nich, co się im od drugich należy; oczy ich przejrzą i zobaczą nietylko to co ich otacza, ale i to, co było przed nimi, co było przed dawnemi wiekami, słowa ludzi co już dawno pomarli, będą dla nich żywe i zrozumiałe; słuchać będą nauki i rozmowy ludzi, których prochu już nikt nie dostrzeże: bo słowo w pismach nie umiera; poznają koło siebie ludzkość całą, którą Bóg rozsiał po świecie; co ta ludzkość przeżyła, co ucierpiała, czego się za boską pomocą dorobiła, co się jej jeszcze w przyszłość należy: bo człowiek co w dobrych książkach czyta, to się wszystkiego doczyta.

Powinna więc gmina nie żałować grosza na założenie szkółki, gdzieby się dzieci jej nauczyły w ojczystym języku, czytać, pisać, rachować, religji, w której je Pan Bóg stworzył i co zresztą przydać im się może, wiadomości o gospodarstwie, ogrodnictwie lub rzemiosłach.

Wybór nauczyciela należy do tych, którzy mu dają główne wyposażenie. Jeżeli to czyni gmina ze swojej własności, to gmina ma prawo wybrać sobie nauczyciela. Jeżeli to czyni jaki inny fundator, to od jego woli zależy, co rozporządzi o nauczycielu, czy sobie prawo wybierania zostawi, czyli też gminie odstąpi. A jeżli sobie gmina uzna za rzecz potrzebną, aby miała dwie różne szkoły, to wolno jej podzielić się na dwoje i na troje, według życzenia mieszkańców, a kto jakiej jest woli, do takiej szkoły grosz swój ofiarować może, do jakiej mu się podoba, i dzieci swoje tam posyłać może, gdzie zechce; a nikomu nie wolno zmuszać kogokolwiek, aby posyłał swoje dzieci do takiej szkoły, której on dla swoich dzieci nie chce; nie wolno tego czynić ani dla nazwiska, ani dla pochodzenia jego, ani dla żadnej przyczyny, ale szanować trzeba wolą rodziców samych, bo tego wymaga zasada wolności, aby każdy czynił według woli swojej, a nie krępował nikogo w woli jego i w prawach jego.

Nauka potrzebną jest dla udoskonalenia człowieka i pożytku jego. Rodzice sami najlepiej to osądzą, jaka nauka pożyteczniejszą jest dla ich dzieci, i tylko rodzice sami mają do tego wyboru prawo. Nie wolno jest żadnej władzy jak rekrutów do tego lub innego regimentu, zapisywać dzieci do tej lub innej szkoły, jeżli sobie tego rodzice nie życzą.

Wspomnieliśmy także, iż gmina powinna dbać także o moralność miejscową. Niema to znaczyć aby jej wolno było roztrząsać ludzkie sumienie, zaglądać co się robi w rodzinie i w domu każdego: od tego jest religja, od tego są kapłani, którzy przykładem i nauką swoją złemu przeszkadzać powinni. Ale są inne rzeczy, w których gmina przez porządki publiczne starać się powinna o to, aby złe przykłady publicznie nie obrażały i nie psuły drugich. Powinna czuwać nad ubogiemi swojemi, aby się nie trudnili żebractwem, które się podoba każdemu próżniakowi, człowieka do podłości i do zepsucia prowadzi. Powinna czuwać aby karczmy w przyzwoitą godzinę były zamykane i wypróżnione z ludzi lubiących zabawiać się pijatyką; — powinna karcić wszystkie psoty i szkody jakie w gminie uczyni kto komukolwiek; — powinna bez pobłażania złoczyńców od-

dawać w ręce sprawiedliwości; — powinna czuwać nad tem, aby człowiek niemoralny nie był obrany do żadnego urzędu w gminie; — powinna we wszystkich swoich czynnościach dbać o to, aby wszystko szło prawdą i uczciwością, a w wychowaniu dzieci żeby zawczasu uczono, że wszelki występek powinien być pogardzony, a tylko cnota szanowaną.

Cztéry role.

Ułożył Józef z Bochni.

(Dokończenie.)

Dusza nasza trzecia rola,
W niej ukryta Boga wola; —
Wszak wy wiecie o tym cudzie,
Że obrazem Jego ludzie;
A że święty, sprawiedliwy —
Toć i człek ma być uczciwy:
Mieć powinien rozum w głowie,
Tkliwość w sercu, szczerość w mowie,
Duszę czystą, ludzką, prawą,
Boć to szczęścia jest podstawą.
A za duszę, za cnotliwą,
Bóg nagrodę da prawdziwą.
Więc, by szło za Bożą wolą,
Trza się zająć duszy rolą,
By nie ściągnąć potępienia —
Trza za głosem iść sumienia.
Ale szatan kusi, mami,
Człek grzechami duszę plami,
Jest dla drugich niebezpieczny,
Lekceważy żywot wieczny,
Nie zna bliźnich, nie zna braci —
Prawość drugich krzywdą płaci;
Lecz gdy słucha słów kościoła,
I do nauk chętny zgoła,
Gdy rozum pilnie podnieca,
Światłem wiedzy go oświeca,
Dusza wtenczas jak lilija,
Ku niebiosom się wybija.

Naród ciemny i bezwiedny,
Zawsze nędzny, zawsze biedny —
Kto się uczy, kto coś umie
Skarby znajdzie w swym rozumie,
A po Bożym, wielkim świecie
Jak wiatr rozgłos się rozmiecie,
Hen w dalekie, obce ziemie,
Że tu dziarskie żyje plemię.

I dla twego bracie ciała,
Opatrzność ci rolę dała,
I chce byś sześć dni pracował,
Siódmy Panu ofiarował.

Ziemia dla nas czwarta rola;
Toć by znośną była dola,
Trza ją prawić i obsiewać,
A już plonu się spodziewać
Możesz z ręki Pana nieba;
Dosyć mienia — dosyć chleba!
Lecz się nie chciej nigdy lenić,
Bo się dola może zmienić,
Człek nędznieje, suszy bieda;
Próżniakowi — nikt nic nie da.
Co za śliczne przeznaczenie,
Żyć dla drugich na ulżenie
Pracy, trudów — żyć na roli
I po Bożej działać woli!

Sielska praca, pług i radło
W udział kmiotku ci przypadło,
Bądź więc pilny, bronuj łany,
Tam kęs ziemi ukąpany
Potem ojców; — w tej to ziemi
Stokroć zboże się rozplemi.
Módl się, pracuj — ufaj Panu,
A skarb zbierzesz z twego łanu,
Trud i praca nie przepadnie,
Bóg nagrodzi ci je snadnie;
Bo twa praca — to pociecha,
Nią się zdobi twoja strzecha.
A gdy będziesz człek piśmienny,
Zaprowadzisz ład odmienny,
Koło sadu i stodółek,
I mieć będziesz roje pszczółek,
Oporządzisz twoją chatkę,
I wyuczysz twą czeladkę —
Jako działać ma na grzędzie;
Nic nie pójdzie po obłędzie:
Tu oglądniesz, tam się spytasz,
I zapiszesz i przeczytasz,
Łacno zwiększysz twój dobytek,
Wszystko zwrócisz na pożytek.
Za porządkiem przyjdzie zdrowie;
A gdy rozum będzie w głowie,
To postąpisz z każdym godnie
Będziesz także niezawodnie
I otwarty i rzetelny,
I mąż z ciebie będzie dzielny;
Poważanie zyskasz wszędzie,
To też życie rajem będzie.

* * *

Owoż bracie wspomnieć muszę,
Bacz na rozum, serce, duszę,
I na ziemię — czwartą rolę,
A wypełnisz Bożą wolę,
I odżyjesz jak na nowo,
Kiedy przejrzysz na świat zdrowo —
Nie zatracisz twojej duszy
I nędza cię nie wysuszy.
Wreszcie taka moja rada,
Jak ją sławny mąż *) powiada:
„Kochaj pracę i wytrwanie,
Nieporządek więcej strudzi,
Snem jest duszy próżnowanie,
Karą życie, które nudzi.“

*) Brodziński.

Gawęda o strachach.

Było to zeszłej zimy jakoś w listopadzie. Na dworze nie było wprawdzie mrozu wielkiego, ale wiatr dął przeraźliwie i przenikał aż do kości. Już zmrok był zapadł, w chacie jakoś mi było samotno i nudno, roboty człek żadnej nie miał, więc zebrałem się do młynarza Bartłomieja na wieczorną gawędę. Trzeba bowiem wiedzieć, że u Bartłomieja, który był bardzo zamożnym i zacnym człowiekiem, bywały w każdy wolny od roboty wieczór schadzki sąsiadów, a na tych schadzkach rozprawiano o rozmaitych rzeczach rozumnych, powtarzano sobie historje starodawne, a czasem też czytał kto głośno z jakiej dobrej książki lub gazety.

Kiedy przyszedłem do Bartłomieja, zastałem tam nauczyciela naszego ze wsi, starego lokaja Jacka ze dworu, i Grzelę mego sąsiada. Ledwiem się powitał i usiadł, gdy pani Bartłomiejowa zawołała nas do wieczerzy, bo Bartłomiej już taki był gościnny, że gościa byłby z domu nie wypuścił, gdyby u niego nie był co przełknął lub przekąsił. Zjadliśmy tedy smaczną polewkę z piwa z serem a ogrzawszy się nią zasiedliśmy przy ogromnym kominie, na którym się palił duży ogień.

Siedząc tak przy ogniu i kurząc lulki gwarzyliśmy o rozmaitych ciekawych rzeczach do późna, bo jak to ludzie rozgawędzą się raz między sobą, to i trudno się oderwać od rozmowy.

Naraz porwał się Grzela z ławki i powiada:

— No panowie sąsiedzi, noc już dobra, muszę iść do chałupy!

— Ej czegoż to się tak spieszycie — rzecze młynarz — ot zostańcie pogadamy jeszcze chwileczkę.

— To już to mówiąc szczerze — odpowiada Grzela — chętnie bym ja z wami został i słuchał dalej, ale markotno mi będzie wracać do domu, bo wiecie, że muszę iść po pod cmentarz.

Na to zaśmiał się głośno pan Bartłomiej i mówi:

— Oho sąsiedzie boicie się strachów! a to wstyd przecie!

— Wstyd czy nie wstyd — rzecze na to Grzela, a już się na prawdę zawstydził — ale strach zawsze strachem.

Bartłomiej zaśmiał się jeszcze głośniej i rzekł:

— Ludzie się oświecają coraz bardziej i uczą, a przecież są jeszcze tacy, co wierzą w strachy. A toć i wstyd pomyśleć, aby człek letni i rozumny wierzył w strachy i bał się ich jak dziecko albo jaka głupia baba. Ja przynajmniej nie wierzę w żadne gusła, upiory, strachy i inne głupie zabobony, bo to i rozumowi i wierze naszej chrześciańskiej się sprzeciwia! A któż to wam powiedział, że są strachy na świecie?

Grzelę jeszcze bardziej zawstydziła ta mądra przemowa i nic nie odpowiedział, jeno milczał zakłopotany.

— Kto wierzy w strachy — rzecze wtedy pan nauczyciel — ten nie jest ani rozumnym człowiekiem ani dobrym

chrześcianinem, bo przecież samo pismo święte zakazuje wierzyć w czary, gusła i upiory. Toć też jeszcze żaden rozumny i dobry człowiek nie powiedział nigdy, że widział stracha. Chyba głupi człowiek to mówi, bo mu się roi we łbie, albo zły, kiedy mu złe sumienie stawi przed oczy widma jakieś, które tylko w jego nieczystej duszy istnieją.

— Świętą prawdę mówicie panie nauczycielu — odezwał się na to Bartłomiej. Baśnie o strachach i upiorach powstają albo z złego sumienia albo z głupoty. Nieraz bowiem ludzie łatwowierni i bojaźliwi, uważają coś takiego za strachy, co jest całkiem naturalne. Bojaźliwy człowiek w każdej wierzbie widzi po nocy upiora a w każdej płachcie powieszonej na płocie jakieś straszliwe widmo. Gdyby miał rozum i odwagę, toby się mógł śmiało przekonać, że się bał nadaremnie.

— Kiedy już o tem mowa — zabrał głos pan nauczyciel — to wam muszę opowiedzieć, co mi się samemu przydarzyło, a najlepiej się przekonacie, jaka to głupia rzecz być bojaźliwym i łatwowiernym.

Wszyscyśmy się przysunęli bliżej do nauczyciela, a i Grzela zawstydzony nie kwapił się już do domu, ale usiadł znowu przy kominie — a pan nauczyciel począł tak rozpowiadać.

— Kiedym był jeszcze młodym chłopakiem i ledwo ukończyłem szkoły, byłem w jednym dworze ztąd daleko za nauczyciela przy małym synu dziedzica. Dwór ten, w którym mieszkał dziedzic, był bardzo stary i miał wielką wieżę, a jak powiadają, to i tatarskie czasy zapamiętał. Otoż w tym dworze była wielka okrągła sala, w której się znajdowały rozmaite stare zbroje i rzeczy, a niektóre bardzo drogie i kosztowne, bo były z szczerego srebra, jak na przykład pancerze, hełmy, i pochwy przy starych szablach, co się zwą karabele.

W tej wielkiej izbie było także dużo wielkich obrazów, a jeden z nich ogromnej wielkości, na którym był namalowany król Jan Sobieski.

Obraz ten nie wisiał na ścianie, tylko oparty był o jeden kąt izby.

Otoż zdarzyło się raz, że pewnej nocy dobywali się jacyś hultaje do tej sali, zapewne, aby pokraść to srebro, którego

tam tak dużo było — ale im się to nie udało, bo dworscy spostrzegli i rozpłoszyli.

Dziedzic bojąc się, aby ci hultaje drugi raz nie dobrali się do sali, kazał nocować w niej swemu słudze Maciejowi. Maciej tedy poszedł tam nocować. Nie można było powiedzieć, aby Maciej był bojaźliwym tchórzem, ale przecież gdy się ujrzał sam na sam w dużej izbie, jakoś go strach zebrał. Izba była bardzo duża, tak że świeca jej całej oświetlić nie mogła, więc też po kątach wszędzie panowała ciemność, a z tej ciemności wyglądali groźnie rycerze namalowani na obrazach.

Ile razy Maciej spoglądnął na te duże malowania, zdawało mu się, że ci rycerze w zbroi ruszają się w ramach, jakby chcieli zejść na posadzkę. Maciej opatrzył czy okiennice dobrze zamknięte, odmówił modlitwę i chciał iść spać.

Koło tapczana, na którym sobie był pościelił, stało wielkie żwierciadło, a zaraz na przeciw tego zwierciadła stał w kącie ów obraz króla Sobieskiego, tak, że gdy było zaglądnąć do zwierciadła, to można było w niem zobaczyć obraz króla.

Maciej przechodził ze świecą koło zwierciadła i ujrzał też w nim portret króla. Rzucił nań jeszcze raz okiem do zwierciadła i o zgrozo! — król z portretu wyraźnie mruga oczyma!

Dreszcz przeszedł Macieja, nogi pod nim zadygotały! Patrzy raz jeszcze do zwierciadła, a owe oczy, co się odbijają z portretu, świecą się i ruszają jakby żywe!...

Gdy Maciej trochę się opamiętał, myślał, że to się tak w zwierciadle tylko odbija, i idąc do tapczana zerknął z pod oka na sam obraz pod ścianą a w kącie. Ale i tu zobaczył dwoje ruszających świecących się ócz. Wyraźnie król Jan z portretu patrzył na niego żywemi oczyma!...

Maciejowi włosy stanęły na głowie, ale nie wołał ratunku, bo się wstydził, jeno wyszedł z sali i zamknął za sobą na klucz drzwi. Kiedy już był za progiem, poleciał jak opętany na dół do czeladniej izby i zawołał blady jak trup:

— Duch święty z nami! W sali coś straszy!

Wszyscy się porwali na równe nogi i zaczęli się wypytywać, a Maciej trzęsąc się cały od strachu począł im opowiadać, co widział. Czeladź się postraszyła ogromnie i wszyscy

wylecieli z izby, chcąc budzić pana. Drzwi od pokoju, w którym ja spałem, były tuż przy izbie czeladniej, więc porwałem się na równe nogi, bom nie spał ale książkę czytał, i wybiegłem do sieni. Pytam co się dzieje, a oni mi opowiadają niestworzone rzeczy, bo jak to mówią, strach ma wielkie oczy!

— Chodźcież ze mną do sali! — rzekłem do nich.

— O nie! my idziemy pana zbudzić!

— Nie budźcie pana, bo wiecie że chory, ale chodźcie ze mną, to się przekonacie, że się Maciejowi tylko przywidziało!

— A ktoby nam kazał iść tam, gdzie coś straszy! — rzekła czeladź.

— Wstydźcie się tchórze — zawołałem — cóż to baby jesteście, czy co? Ja pójdę naprzód, a wy chodźcie ze mną!

I skoczywszy do mego pokoju, wziąłem z tamtąd pistolet nabity, który pożyczyłem był sobie dla zabawy od dziedzica.

Czeladź nabrała jakoś odwagi, i widząc, że idę naprzód, poszła za mną z kijami i siekierami.

Maciej nam otworzył i weszliśmy do sali. Ja nie czekając długo idę ze świecą prościutko do obrazu króla Jana — patrzę i akuratnie, oczy się w obrazie świecą i ruszają trochę!

Czeladź mało ze strachu nie uciekła, a i ja trwogi trochę uczułem — ale wnet się opamiętałem, odwiodłem kurek od pistoletu, wycelowałem w obraz i zawołałem:

— Wychodź, bo strzelę!

Ledwo to wypowiedziałem, a tu oczy naraz zniknęły w obrazie a zamiast oczu pokazały się tylko dwie dziury.

— Bierzcie obraz! — zawołałem na czeladź.

Zrazu się bali, ale wnet dwóch śmiałych parobczaków postąpiło naprzód, chwycili za obraz i odsunęli go na bok!

Patrzymy, a tu za obrazem w kącie przykucznął jakiś człowiek! Chwytamy go, patrzymy i poznajemy, że to Franek, sławny złodziej, którego niadawno wypuścili z kryminału!

— Mamy stracha! — zawołaliśmy wszyscy chwytając hultaja w nasze ręce.

I taki to był strach.

Maciej kiedy szedł spać do sali, zapomniał był coś i wrócił się do izby czeladniej a drzwi nie zamknął, tymczasem ów

niecnota złodziej, który od dawna czatował na sposobność, wkradł się do sali i schował się za obraz, a aby sam był skryty a wszystko dobrze widział, wyrznął w obrazie dwie dziury, tam gdzie były namalowane oczy, i przez te dziury przypatrywał się i czekał, dopóki Maciej nie zaśnie.

Związaliśmy stracha a na drugi dzień odwieźli do kryminału — a potem było wiele śmiechu z tej całej historji — a ci co się bali, mieli wstydu po uszy!

Gdy nauczyciel skończył swoje opowiadanie — które nam się bardzo podobało, odezwał się młynarz Bartłomiej:

— Kiedyśmy się już o takich rzeczach rozgadali, to bym wam opowiedział jeszcze jedno zdarzenie, którego sam byłem świadkiem.

— Prosimy! prosimy! — zawołaliśmy razem.

Bartłomiej nałożył sobie świeżą lulkę tytoniu, zapalił, i puściwszy kłąb dymu ku kominowi tak począł prawić:

— Opowiem wam historję o ułanie bez głowy i młynarczyku Janku. Kiedym był jeszcze czeladnikiem młynarskim, byłem w terminie u jednego mielnika pod Warszawą. Było nas kilku czeladzi u niego, sami walni i weseli chłopcy, ale najweselszym ze wszystkich był Janek, który nietylko pierwszy był do roboty ale i do figlów. Młynarz, u któregośmy terminowali, miał córkę jedynaczkę Basię, dziewuchę urodziwą, aż miło. Otoż musicie wiedzieć, że Janek pokochał Basię a Basia też nie była krzywą Jankowi. Sam młynarz nie gniewał się o to, bo Janek był poczciwy i żwawy czeladniczek — a on sam już stary i słaby, a tu młyn duży i sławny na całą okolicę potrzebował tęgiego majstra.

Miał więc Janek nadzieję, że Basia będzie jego, gdy naraz pojawił się w sąsiedniej wsi ekonom, jakiś wisus warszawski. Zaglądnął on do młyna, podobała mu się Basia a podobno bardziej sam młyn, i nuż smalić cholewki do dziewczyny i przymilać się ojcu. Umiał się niebawem tak przypodobać ojcu, że choć go Basia nie lubiła, młynarz rad go przyjmował w swej chacie. Janka to okrutnie gryzło i gniewało — chodził chłopak jak struty, bo się bał, że mu ekonom dziewkę z przed nosa pochwyci.

Razu jednego w zimie pod wieczór przyjechał ekonom w odwiedziny do młynarza i zabawił do późną. Przy wieczerzy ekonom zalecał się Basi, plótł koszałki opałki, kłamał niestworzone rzeczy o Warszawie — a Janek tymczasem czerwony był od frasunku jak rak i ani łyżki do ust nie przytulił od gniewu.

Nareszcie gdy już było dobrze pod noc, począł się zabierać ekonom do domu, ot tak jak przed chwilą Grzela odemnie. Młynarz go zatrzymuje i prosi aby został jeszcze.

— Ej zostałbym ja i do rana — rzekł ekonom mrugając siwemi oczkami na Basię — ale cóż kiedy mi droga po pod wierzbowy jar, a wy wiecie panie młynarzu, że tam niebezpiecznie!

A trzeba wam wiedzieć, że z młyna do wsi trzeba było iść przez dół głęboki, obrosły po bokach wierzbami, który się dlatego nazywał wierzbowy jar. Otoż o tym wierzbowym jarze opowiadały stare baby i głupcy, że tam coś straszy. Mówiono, że tam przed dawnemi laty była bitwa i kula armatnia urwała głowę jakiemuś ułanowi, i że ten ułan jeździ teraz tamtędy o północy bez głowy na czarnym koniu. Kto mądry ten w takie dziwne brednie babskie nie wierzył — ale ekonom nie był mądry i bał się strachów. Kiedy więc tak mówił do młynarza pyta go tenże:

— Alboż to wy wierzycie w strachy?

— No, no, wierzę nie wierzę! — odpowiedział ekonom zawstydzony — jużciż że nie wierzę i nie boję się niczego!

— A więc zostańcie jeszcze!

Ekonom rad był jak najprędzej odjechać, bo udawał tylko zucha, ale widząc, że Janek się zaśmiał i Basia także, został aż do samej północy. O północy rozeszliśmy się spać, tylko Janek gdzieś się był podział, a ekonom z wielkim strachem siadł na swoją szkapę i pojechał. Przez drogę sobie pogwizdywał dla odwagi, ale im bliżej było do wierzbowego jaru, tem bardziej go strach zbierał, bo jak już powiedziałem był człek nie mądry i lękliwy. Kiedy już wjechał w sam jar, strach go jeszcze większy zebrał i popędzał co siły szkapę, aby prędko minąć to miejsce. Ale szkapa jakby na złość nie chciała bie-

gnąć prędko a tu ciemno i głucho, jeno wiatr jęczy i po polu świszcze.

Gdy się tak biedzi ekonom, słyszy nagle za sobą tentent, jakby kto za nim na koniu pędził. Przypomniał sobie zaraz ułana bez głowy i lęk go przejął okrutny. Począł bić z całej siły szkapę, aż nareszcie rozpuściła jakoś stare nogi, ale nic to nie pomogło, bo tuż za nim słychać był stuk kopyt koński i brzęk jakby od szabli.

Pot śmiertelny oblał ekonoma, bije szkapę co może i cmoka — ale widmo za nim ciągle goni — nareszcie już go dopędziło. Ekonomowi głos zamarł w gardle, włosy mu stanęły kołkiem na głowie, patrzy obok siebie, a tu pędzi koło niego czarny jeździec bez głowy na czarnym koniu. Jeździec ten nie miał głowy na karku, jeno ją trzymał w rękach przy siodle!...

Ekonom miał jeszcze tyle tylko przytomności, że palnął szkapę kijem z całej siły i wysunął się naprzód nie wiedząc co się z nim dzieje. Wtem ze wsi zaleciał głos koguta! Ekonom oglądnął się po za siebie — patrzy a tu — o zgrozo! — owa mara na koniu rzuca wprost na niego swoją głowę!... Ekonom zgiął się we dwoje ale nic mu to nie pomogło, głowa rzucona przez czarnego jeźdzca palnęła go po samym czubie! Ekonom na pół nieżywy ze strachu spadł z konia i zemdlał a szkapa pognała sama do wsi.

Tak leżał jakiś czas bez duszy ekonom, aż naraz się przebudził i patrzy, a tu koło niego stoi i stary młynarz i Basia i młynarczyk Janek i nas dwóch innych czeladników z latarniami i śmiejemy się z całego gardła! Ekonom przetarł oczy i popatrzył do koła i zawołał:

— Wszelki duch chwali Pana Boga!

— I my go chwalimy — odrzekł stary majster zdejmując baranią czapkę z głowy — ale co to się z wami stało?

— Oj gwałtu! — jęknął ekonom — toć mnie ten jeździec bez głowy ścigał aż tutaj, a nie mogąc mnie dopędzić, rzucił za mną swoją odciętą głową, którą trzymał w ręku.

— Cha, cha, cha! — zaczął się śmiać majster — a wiecie kto to był ten jeździec? To był Janek niecnota! — a ta głowa ot tu koło was leży.

Ekonom patrzy koło siebie — a tu leży dynia, która się o jego czuprynę połupała w kawałki!

Wiecie już teraz sami jak to było. Janek chciał figla spłatać ekonomomi, a dowiedziawszy się że się boi strachów, obwinął się cały z głową w czarny koc i jeno na oczy zostawił dziurę, siadł na konia czarnego młynarzowego, wziął dynię do rąk, przypiął łańcuch do siodła aby brzęczał i tak pędził za ekonomem, a potem za nim dynią rzucił.

Gdy ekonom padł na ziemię Janek wrócił prędko do młyna, opowiedział co zaszło i wszystkich na to miejsce sprowadził, gdzie to się stało.

Co było śmiechu z tego i jak się ekonom zawstydził, nie potrzebuję wam już i opowiedzieć. O Basi już teraz ani mógł myśleć ekonom, jeno odgrażał się na Janka, ale gdy cały ten śmieszny wypadek gruchnął po wsi, wyniósł się na inną służbę a w kilka miesięcy potem sprawiał młynarz huczne wesele Jankowi i Basi.

Uśmialiśmy się serdecznie z historji Bartłomieja, a że już było na prawdę późno, więc pożegnaliśmy się z gospodarzem i poszli do domu. Ja zaś całą tę gawędę wypisałem do naszego „Dzwonka“ — gdyż bardzo dużo jest jeszcze ludzi, którzy wierzą w upiory, wiedźmy i inne podobne bzdurstwa.

Stach Barwinek.

RÓŻNOŚCI.

Okropne nieszczęście. W kraju co się zowie Mezopotamią, to już het za morzami, w drugiej części świata, stał się okropny przytrafunek, gdyż nagle otwarła się ziemia w przestrzeni około 30 mil mająca, i zapadło się 16 mil. Gazety nie donoszą dalej czy w tem miejscu wybuchła woda, i stało się morze, czy też ognie na tem miejscu powstały albo jakie palne rzeczy smoła lub nafta. Później doniosą nam zapewne o tem.

Rada przeciw cholerze. Wspominaliśmy wam już w zeszłym numerze o tej strasznej chorobie — a teraz donosimy wam, że we Lwowie napisał pewien uczony doktor małą książeczkę dla ludu, w której wyłożone jest jasno i na rozum, jak się ustrzedz przed tą słabością i jak się ratować gdy już kogo owładnie. Ta książeczka kosztuje tylko 10 kr. a dostać ją można po wszystkich księgarniach. Lekarz, który ją napisał nazywa się Szczęsny Ludolub.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.